

LEONARDO

SCIASCIA

Rada egipska



LEONARDO

SCIASCIA

Rada egipska

Tłumaczyła

Halina Kralowa

Wydawnictwo Próby - Wydawnictwo Austeria

Il consiglio d'Egitto © Leonardo Sciascia Estate
Published by arrangement with
The Italian Literary Agency

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Próby
and Wydawnictwo Austeria
Copyright © for the translation by Halina Kralowa

Warszawa 2020

ISBN 978-83-959036-1-8

Widzimy ją po prawdzie tak, jak Pani widzi z Tuileries Faubourg Saint-Germain; kanał nie jest wcale szerszy, daję słowo, a tymczasem mamy kłopot z przepłynięciem na drugą stronę. Uwierzy Pani? Gdyby chodziło tylko o wiatr, postąpilibyśmy jak Agamemnon: złożyli w ofierze jakąś dziewczynę. Bogu dzięki, mamy ich pod dostatkiem. Ale ani jednej łodzi, w tym cały kłopot. Podobno przyłyną; dopóki mam tę nadzieję, proszę nie myśleć, Madame, bym kiedy patrzył za siebie ku miejscom, gdzie Pani mieszka, choć bardzo mi się podobają. Chcę zobaczyć ojczyznę Prozerpiny i dowiedzieć się, dlaczego diabeł ożenił się w tym kraju.

Paul-Louis Courier

część
pierwsza

Benedyktyn przesunął pękiem różnobarwnych piór po brzegach książki. Nadymając okrągłą twarz niczym bóg wiatrów z map żeglarskich, dmuchnął, aby usunąć z księgi czarny kurz, i otworzył ją z obrzydzeniem, które w tej sytuacji było świadectwem delikatności i lęku. W świetle padającym ukośnie z umieszczonego wysoko okna litery na piaskowym papierze stały się wyraźniejsze, niczym groteskowy oddział czarnych mrówek, spłaszczony i suchy. Jego ekscelencja Abdallah Mohamed ben Olman pochylił się nad znakami, jego oko, zwykle apatyczne, zgasłe i znudzone, stało się żywe i bystre. Chwilę później wyprostował się i prawą ręką zaczął szukać czegoś pod surdudem: wyciągnął lupę oprawioną w złoto i zielone kamienie, które czyniły ją podobną do kwiatu lub owocu na cienkiej łądyżce.

– Zamarzły strumień – powiedział, wskazując trzymany przedmiot.

Uśmiechnął się, przytoczył bowiem, na cześć gospodarzy, Ibn Hamdisa, sycylijskiego poetę. Ale nikt, poza don Giuseppem Vellą, nie znał arabskiego, a don Giuseppe nie był w stanie pochwycić poetyckiego znaczenia, które jego ekscelencja chciał nadać cytatowi, ani zrozumieć, że w ogóle chodzi o cytat. Wytłumaczył więc, zamiast słów, sam gest:

– Lupa, potrzebuje lupy – co monsignore Airoldi, wyczekujący niecierpliwie opinii na temat manuskryptu, zrozumiał sam z siebie.

Jego ekscelencja pochylił się ponownie nad księgą, poruszał lupą, jakby kreślił nią chwiejne elipsy. Don Giuseppe widział znaki, ukazujące się nagle w soczewce, ale zanim zdążył pochwycić choćby

jeden z nich, postrzępione, opadały z powrotem na spróchniały papier.

Jego ekscelencja odwrócił kartę i nadal z uwagą badał tekst. Przewrócił kolejne stronicę, przesuając po nich szybko lupę, zatrzymał się nad ostatnią, rojącą się od małych, srebrnych robaczków.

Uniósł głowę, stanął plecami do manuskryptu: jego oczy znów przygasły.

– Żywot proroka – powiedział – żadnych spraw sycylijskich: żywot proroka, jakich wiele.

Don Giuseppe Vella zwrócił się z rozpromienionym obliczem do monsignore Airoidiego:

– Jego ekscelencja mówi, że to cenny manuskrypt: nawet w jego krajach nie istnieje nic podobnego. Opowiada o zdobyciu Sycylii, o wydarzeniach z czasów panowania...

Monsignore Airoidi zaczerwienił się z radości i z wrażenia zaczął się jękać:

– Zapytajcie – powiedział – jego ekscelencji... zapytajcie, czy przypomina *Kronikę z Cambridge*, albo, czy ja wiem? *De rebus Siculis...*

Ojciec kapelan Vella nie był kimś, kto zląkłby się tak ogólnikowego pytania, i był gotów na zadania znacznie trudniejsze. Zwrócił się do ekscelencji:

– Monsignore jest rozczarowany, że manuskrypt nie mówi o sprawach sycylijskich. Pragnie jednak wiedzieć, czy podobne żywoty proroka znajdują się w Cambridge albo innych miejscach w Europie.

– W naszych bibliotekach jest ich wiele: nie wiem, czy można je znaleźć w Cambridge lub innych miastach europejskich... Przykro mi, że rozczarowałem monsignora, ale taka jest prawda.

„O nie, prawda wcale nie jest taka!”, pomyślał don Giuseppe i powiedział do monsignora:

– Jego ekscelencja nie zna, naturalnie, *De rebus Siculis...*

– Naturalnie, to jasne – potwierdził, nieco zbity z tropu, monsignore.

– Ale zna *Kronikę z Cambridge*... Ten manuskrypt jest, mówi, czymś innym: tu chodzi o zbiór listów, sprawozdań... Słowem, dokumentów państwowych.

Pomysł oszustwa zaświtał kapelanowi Velli w chwili, gdy monsignore Airoldi zaproponował wycieczkę do klasztoru San Martino, gdzie, jak przypomniał sobie monsignore, był arabski manuskrypt przywieziony sto lat temu do Palermo przez don Martina La Farinę, bibliotekarza z Eskurialu. I nie było lepszej okazji, by dowiedzieć się, co ten manuskrypt zawiera: Arab, który zna się na literaturze i historii, i tłumacz taki jak Vella.

Abdallah Mohamed ben Olman, ambasador Maroka przy dworze neapolitańskim, znalazł się w Palermo owego grudnia 1782 roku wskutek sztormu, który u wybrzeży Sycylii rozbił statek wiozący go do Maroka. Wicekról Caracciolo, wiedząc, jak bardzo władzom w Neapolu zależy na dobrych stosunkach z pirackim światem arabskim, do którego odnoszą się wręcz ze skrywanym podziwem, na wieść o katastrofie posłał natychmiast lektyki i karety, z dobrą eskortą, po ambasadora, który siedział opuszczony na plaży, pośród swoich bagaży. Ale zaledwie ambasador przybył do pałacu, wicekról zdał sobie sprawę, że nie sposób się z nim porozumieć: nie znał francuskiego, nie znał nawet neapolitańskiego. Na szczęście ktoś mu poradził, aby wezwał maltańskiego kapelana, krążącego po mieście, zawsze samotnego, zawsze chmurnego: rzuconego przez los do Palermo.

Umyślni, rozesłani śladami Velli, szukali go gorączkowo po całym mieście, jako że w domu siostrzenicy, która udzielała mu skromnej gościny, bywał tylko nocą i w porze posiłków, resztę dnia zaś spędzał zawsze poza domem, zajęty podwójną działalnością kapelana w Zakonie Maltańskim i specjalisty od odgadywania numerów, które mają paść na loterii. To ostatnie zdjęcie dawało mu

zyski dodatkowe, pierwsze – zasadnicze. Radził sobie zupełnie dobrze, tyle że nie był jeszcze w stanie zrezygnować z gościnności siostrzenicy, gościnności bardzo ciernistej, z piątką dzieci z piekła rodem i panem domu, mężem siostrzenicy i ojcem owych dzieci, leniwym i lubiącym wypić.

Jednemu z umyślnych wreszcie udało się go znaleźć. Był u rzeźnika w Albergaria, zajęty objaśnianiem dość zawilego snu. Bo ojciec kapelan był nie tyle odgadywaczem numerów, co wróżącym ze snów; z opowiadanych mu snów wybierał szczegóły, które mogły nadać opowieści pewną logikę, i zamieniał na numery obrazy najbardziej w opowiadaniu znaczące. A nie było łatwo sprowadzić do pięciu cyfr sny ludzi z Albergaria i z Capo (dwóch dzielnic, do których ograniczał swoją działalność); sny ciągnące się bez końca, niczym historie z *I reali di Francia*; rozpadające się na chaotyczne obrazy, rozbiegające tysiącem niewyraźnych strużek. W tym śnie, który rzeźnik opowiadał mu w chwili przybycia umyślnego, występowały, ni mniej, ni więcej, śmiejący się wieprz, wicekról, pewna sąsiadka, kuskus i... To były szczegóły, które ojcu kapelanowi udało się wyłuskać.

Wysłuchał słów umyślnego, a to, że wezwanie dotarło w chwili, gdy wicekrólowi ze snu rzeźnika nadawał właśnie numer, wydało mu się dobrą wróżbą.

– Już idę – powiedział do umyślnego, a rzeźnika zapytał: – Wicekról przyśnił się wam jako osoba publiczna czy prywatna?

– Niby jak? – spytał rzeźnik.

– Mówię: był w orszaku, w procesji czy sam?

– Śnił mi się sam, tylko on i ja.

– Wicekról 1... kuskus 31... Wieprz to 4...

– Ale wieprz się śmiał – uściślił rzeźnik – śmiał się w głos.

– I widzieliście, że się śmieje, czy tylko słyszeliście?

– Teraz, jak pomyślę, wydaje mi się, że gdy zaczął się śmiać, już go nie widziałem.

– To dorzucicie 77... i 45 za sąsiadkę.

Dał znak umyślnemu i ruszył do drzwi.

– Ojcie – zawołał rzeźnik – zapomnieliście o tamtym.

– Jeśli wam na tym zależy, dajcie 80 – powiedział ojciec kapelan, czerwieniąc się – ale numerów ma być pięć: wyrzucicie więc 80 albo 77.

– 80, nie – stwierdził rzeźnik.

Benedyktyn wyszedł, posyłając go do diabła.

Wicekról miał nerwy napięte do ostateczności. Ojciec kapelan nie zdążył się nawet uklonić, a już Caracciolo pchnął mu w ramiona ambasadora Maroka.

– Tylko mi nie mówcie, że nie znacie arabskiego – zażartował cierpko wicekról – bo was poślę do Vicarii.

– Istotnie, znam trochę arabski – powiedział don Giuseppe.

– To świetnie... Więc oprowadzajcie go po mieście, dawajcie wszystko, o co poprosi, spełniajcie wszelkie zachcianki, wszelkie kaprysy: z kobietami lekkich obyczajów i damami z towarzystwa włącznie.

– Ekscelencjo! – zaprotestował don Giuseppe, wskazując krzyż maltański, który nosił na piersi.

– Możecie go zdjąć i też iść na kobiety: założę się, że nie są dla was nowością – odparł wicekról ze złośliwym uśmiechem.

Ambasador, uczepiony od tej chwili Velli, jak ślepiec swego przewodnika, nie chciał, na szczęście, chodzić na kobiety: chociaż po dekoltach dam jego wzrok, powolny i lepki, ściekał jak miód; chciał natomiast zobaczyć wszystko, co w Palermo jest arabskiego: i od stopnia, w jakim don Giuseppe mógł temu wymaganiu sprostać, raz trafiając właściwie, raz myląc się, zależał nastrój dnia. Na szczęście monsignore Airoidi, wielki miłośnik historii sycylijskiej i rzeczy arabskich, przyłączył się do nich w charakterze przewodnika ambasadora, korzystając przy tym również z pomocy don Giuseppego. Więcej, dzięki monsignorowi i tak już lukratywne

zadanie don Giuseppego stało się także przyjemne: wieczory spędzane błogo wśród pięknych kobiet, urok świateł, jedwabi, luster, wzruszająca muzyka, słodkie śpiewy, a także rozkosze stołu i znamienite towarzystwo.

Myśl, że wszystko to trwać będzie tylko do odjazdu Abdallaha Mohameda ben Olmana, zaczynała drażnić don Giuseppego Vellę. Powrót do bilansu opartego na skąpych dochodach z beneficjum i niepewnych wpływach z przewidywania numerów wydawał mu się teraz losem ponurym, wręcz rozpaczliwym.

I tak, z lęku przed utratą świeżo zakosztowanych uciech, z wrodzonego skąpstwa, z mrocznej pogardy dla bliźnich, chwytając czujnie okazję, jaką los mu podsuwał, z poczuciem poważnego, lecz świadomego ryzyka, Giuseppe Vella stał się bohaterem wielkiego oszustwa.